

Pod Gorlicami

Austria miała dziwną armię. Sędzia był sanitariuszem, budowniczy podoficerem rachuby, inżynier ordynansem, maszynista kolejowy kucharzem, profesor geografii komendantem punktu weterynaryjnego, kupiec artykułami żelaznymi – cenzorem. Armia przewracała do góry nogami życie austriackich poddanych na różne sposoby. Ja byłem podczas wojny najpierw zamiataczem parku koło Akademii Wojskowej, a potem księgarzem, saperem i grabarzem.

Sztuki saperskiej nauczyli nas Brnie na trzytygodniowym kursie. Pod koniec lutego 1915 roku wyposażono nas szczerze i wysłano na front. Oprócz karabinu, pasów, bagnetu, 40 ostrych nabojów i innych rzeczy, które widywaliśmy na żołnierzach i w ich tornistrach, dali nam płaszcz, sukienną podpinkę do płaszcza, sweter, rękawice, zarękawki, dwie pary onucy, opatrunek osobisty na brzuch, szalik, mufę, kożuszek, dwa bandaże na rany, kaptur na głowę, białą płócienną narzutę (Schneemantel), białą kapuzę na głowę, dwie pary butów, połówkę namiotu, dwa kołki, kocyk, papierowe onucki, papierowy „ornat” od zimna, który mieliśmy wkładać na bieliznę, bochen chleba, cztery konserwy gulaszowe, jedną konserwę kawową, 1 kg suchej kiełbasy, woreczek sucharów, woreczek soli, cztery ząbki czosnku przeciw cholerze, woreczek delikatnych sucharów, pudełko czekolady, trochę pieprzu i maść przeciw wszom. Do saperskiego tornistra włożyli mi kilof, łopatkę, żelazny hak, 10 wielkich gwoździ, łopatę i mały świder, linkę, kłębek sznurka, do kieszeni dali mi mosiężną torebkę z dokładnym adresem, aby było wiadomo, kogo nieprzyjaciel zastrzelił i aby można było umieścić na „Verlustliście”.

To wszystko mieliśmy donieść do okopów. Ale już podczas pierwszej kontroli, pod Grybowem, w Galicji, okazało się, że amunicja, papierowe „ornaty”, kiełbasa i konserwy znikły, a nasze wsporniki wyposażenie ma znaczne luki. Stwierdzone braki były natychmiast uzupełniane wyzwiskami, szturchańcami, biciem po twarzy i uderzeniami kija, kopniakami oraz wszystkim tym, czym dysponowali oficerowie austriaccy.

Pod Grybowem po raz pierwszy owionął nas duch pola bitwy. Zarośnięci, brudni, wychudzeni żołnierze oddziałów zaopatrzenia, ubłocone, włochate, polskie koniki, rozklekotane furmanki, zmordowani kawalerzyści na udęczonych koniach – brnęli przez morze bagna, które nazywali gościńcem i wlekli się gdzieś w stronę gór. Za nimi posłano również i nas.

Przed północą dotarliśmy do wsi, rozrzuconej na pagórkach. Wodzili nas od chałupy do chałupy, a wszędzie pełno wojska. Później nas rozdzielili na mniejsze oddziały i wegnali do stodół i szopek, przy akompaniamencie sarkania, wyzwisk i protestów mieszkających tam żołnierzy.

Naszej grupie przydzielono marną szopkę. Zmordowani padliśmy na chrust upakowani błotem, owinęliśmy się w koce i celty, zasnęliśmy. Rano obudziliśmy się, zasypani śniegiem. Szopka była bez dachu. Artylerzyści dawno zerwali z niej poszycie, dla koni. Rozprostowaliśmy zdętwiałe kości, wyszliśmy przed szopkę, podskakiwaliśmy i biegaliśmy wokół szopy, by odegnać lutowy mróz, który zgał po całym ciele. Patrzyliśmy smutno na szare, kryte słomą domki, rozrzucone po stromych stokach. Z przerażeniem oglądaliśmy wąsatych żołnierzy, którzy wałęsali się po dolinie i zboczach. Stwierdziliśmy, że stacjonujemy w Bystrej koło Gorlic.

Pod wieczór przyszli ordynansi i rozprawdzili żołnierzy do okopów. My „pionierzy”, zostaliśmy we wsi. Zaprowadzili nas do technicznej. Pan sierżant z oddziału technicznego przyjął i pokwitował „cuwaks”. Długo nas oglądał i kręcił głową nad tym, jak w oddziale technicznym mogli znaleźć się dwaj nauczyciele. Z budowniczego był bardzo zadowolony. Miał nadzieję, że potrafi choćby wykopać dół... Jeszcze staranniej obejrzał nas pan kapral. Gdy skończył obmacywać nas swymi czarnymi oczyma, zawołał z przerażeniem: „no i co ja z

wami zrobię w abtajlungu, kiedy z was żadni fachowcy? Co za bydlę was odkomenderowało do technicznego? Pewnie szukaliście, gdzie by tu się zadekować, no nie? Myślę, że to dekowanie prędko wam się przeje!”

I miał rację! Już pod koniec pierwszego tygodnia byliśmy zmordowani na duchu i ciele. Gdyby nie kilku koleżeńskich pionierów, którzy na wszelkie sposoby ułatwiali nam ciężką i obcą nam robotę i którzy nie jeden „sztych” wyrzucili za nas pod Gorlicami, raz dwa odnieśliby nas do lazaretu. Może zresztą byłoby to dla nas lepsze, niż dwudziestomiesięczne, nieprzerwane pałętanie się po froncie. Przez całą zimę i całą wiosnę budowaliśmy pod Gorlicami okopy, zasieki z drutu, ścinałiśmy drzewa, rozbieraliśmy opuszczone chałupy, znosząc drewno do okopów, godzinami dźwigaliśmy na plecach kłęby drutu kolczastego, kołki, łaty, deski.

Do pracy wychodziliśmy o piątej – szóstej wieczorem, do domu wracaliśmy nad ranem. W połowie marca nasz triumwirat (jeden budowniczy i dwaj nauczyciele) był już wychudły na kość. Ledwo powłóczyliśmy nogami. Od stóp do głów żarły nas polskie wszy. Dłonie stwardniały, linie na nich zmieniły się w gnijące strumyczki, z których przy każdym rozwarciu pięści tryskała krew. Ciężka praca i nędzne noclegi zmordowały nas śmiertelnie. Byliśmy trzy ćwierci od śmierci, jak mawiał miły i roztropny kapral Foukal.

Niemal przez cały marzec padał mokry śnieg. Drogi zmieniły się w grzędzawiska. Brodziliśmy po rozmokłych polach do roboty, a w okopach pracowaliśmy w lodowej wodzie, która często sięgała do kolana.

Kwiecień był litościwszy. Ustał śnieg i mglisty górski deszcz, zbocza obeschły i zazieleniły się. Z podłogi, gdzie spaliśmy na gołych deskach – wyprowadziliśmy się przed chałupę. Postawiliśmy namiot, wysłaliśmy go suchą trawą, której narwaliśmy na pobliskiej łące i zachwycaliśmy się nowym czystym mieszkaniem.

Pitře, Nečasie, Foukalu, Pátiku i wy pozostali wspaniali chłopcy, którzy cierpieliście z nami, czy macie jeszcze w oczach wioskę Bystrą? Czy widzicie namioty, w których wiosną 1915 roku przespaliśmy dni po ciężkiej, nocnej pracy? Czy widzicie ogromne słupy dymu, które wzbijały się w podpalonych szybów naftowych w Gorlicach? Czy widzicie te potwornie rozbite drogi, którymi chodziliśmy do Stróżówki? Czy pamiętacie, jak gotowaliśmy jedzenie po powrocie z nocnej harówki? Czy widzicie jeszcze te wyblócone, wynędzniałe postacie kulące się przy ognisku? Czy widzicie tych czarnych, brudnych, przemokniętych, zawoszonych, mdlejących i odrętwiałych mężczyzn, jak dmuchają na mokre trzaski w ognisku i starają się z nich wyczarować promyczek, na którym by się dało ugotować czarną kawę albo „gemizę”? Czy jeszcze słyszycie te smętne piosenki, które o zmierzchu zaczynał zwykle Válek, Kunčar albo któryś z młodych żołnierzy? Mnie do dzisiaj często stają w oczach liczne scenki z naszego „zbójeckiego” życia pod Gorlicami.

Podczas nocnej pracy spotkałem kilku znajomych. Niektórzy byli w polu już od szeregu miesięcy. Ich zapadnięte policzki, sterane twarze jasno mówiły o nędzy i poniewierce, którą przeszli. Skąpo cedzili słowa. Milcząco kiwali głowami, gdy zaczynało mówić o Kraśniku, Rawie Ruskiej i innych stacjach żołnierskiej golgoty, zapisanej na czarno w annałach armii austriackiej. Machnęli tylko ręką, gdy rozmowa zeszała na walki pod Iwanogrodem (Dęblinem – przyp. tłum), na Sanie i gdzie indziej. Nie chciało się wspominać. Było, minęło, przeboleło. Ale gdy zaczynało mówić o zimie pod Gorlicami, każdy się zapalał i każdy przysięgał, że już nie będzie dłużej znosić tej nędzy i przejdzie do Moskali. Usłyszy „stupaj” i pójdzie na wschód, albo dostanie ruską kulkę. Ale będzie koniec! Koniec umierania w okopach. I nie tylko w okopach! W lisich norach, nad którymi było kilka desek, stare drzwi, kawałek płotu, trochę chwoi czy chrustu. W takich jamach, z przodu nieco zamaskowanych z tyłu przykrytych celtami – kulili się żołnierze trzeciego pułku przez całą słotną zimę piętnastego roku. Nie było materiału do budowy lepszych schronów, nie było narzędzi i sprzętu, który umożliwiałby pracę i ją przyspieszał, nie było dostatecznej ilości oddziałów technicznych, które by pracę wykonały albo przynajmniej nią kierowały.

Co zostało zrobione, to zrobili piechocińcy gołymi rękami. Najwyżej za pomocą saperek.

Armia austriacka zaczęła budować schrony i okopy dopiero pod koniec piętnastego roku i w latach następnych. Podczas pierwszej wojennej zimy, żołnierze kulili się i marli w ciasnych, wilgotnych obrzydliwych norach. W takich norach rżęzili suchotnicy, którzy jeszcze przed kilkoma miesiącami tryskali zdrowiem, przewiązywali sobie ropiejące wrzody na nogach i skręcali się w reumatycznych bólach wynędzniali ludzie, ongiś przystojni mężczyźni z południowo-wschodnich Moraw.

W marcu armia austriacka przypuściła pod Gorlicami kilka szturmów, za każdym razem krwawo odpartych. Polegli w nich, zostali ranni albo wzięci do niewoli żołnierze, którzy przeżyli wstrętną zimę na karpackich zboczach wokół Gorlic. Gdy zaświeciło ciepłe, kwietniowe słońce, spoglądali już na Gorlice przeważnie świeżo przybyli, młodzi żołnierze. Mówiliśmy na nich: zające. Nie wiedzieli dotychczas, co potrafi wojna. Ale dowiedzieli się na początku maja.

Pod koniec kwietnia odcięto nas od świata. Przeszła dochodzić poczta, zakazano powtarzać, co dzieje się na froncie i za frontem. Każdemu zakazowi towarzyszyły obietnice więzienia, kulki albo stryczka. Zaczęło być coraz groźniej!

Wychodziliśmy do pracy tuż po zmroku i kopaliśmy do samego świtu. Gdy 28 kwietnia wracaliśmy do rozbitego noclegowiska w Bystrej, wybiegł na nasze spotkanie wnuk naszego „gospodarza”, krzyżąc z daleka: „Niemce przyjechali, chałupę zabrali”! Patrzył na nas z nadzieją, jako jedynych obrońców, którzy mogą pomóc dziadkowi, babce i rodzicom. Ci stali wystraszeni na progu chałupy. W środku niemiecka grupa kwatermistrzowska urzędowała „pokoje” dla podoficerów ciężkiej artylerii. Na nas czekał ordynans. Rozkazał, żebyśmy się przygotowali do wymarszu.

Zwinęliśmy swój dobytek. Przez cały dzień ustawiali nas w dwuszereg, sprawdzali, po czym zezwalali na rozejście się i od nowa to samo. Dopiero 29 kwietnia wieczorem uznano, że jesteśmy gotowi do wymarszu. O szóstej wyszliśmy w kierunku Jankowej. Szliśmy przez całą noc. Wciąż spotykaliśmy niemieckich piechurów w hełmach i charakterystycznych okrągłych czapkach. Płynęły rzeki lekkiej i ciężkiej artylerii, taborów i wozów amunicyjnych.

30 kwietnia przed południem odpoczywaliśmy. Po południu dali nam amunicję, żelazną rację żywnościową i posłali na front. Wszędzie widać było ruch i gorączkowe przygotowania. Koło gościńca Węgrzy ustawiali trzydziestki piątki¹, kilkaset kroków w kierunku linii frontu Niemcy mocowali działa dalekosiężne i okrętowe, za stromym zboczem kończono prace saperskie przy baterii ciężkich moździerzy, nad potokiem sanitariusz instalowali punkt opatrunkowy z wielkim namiotem, tuż za frontem rysowały się szeregi działek polowych, tworząc żelazny łańcuch, który zwierzał okopy piechoty. Spoglądaliśmy ponuro na te wielkie przygotowania do bitwy. Starzy żołnierze też byli zdziwieni i mówili, że tyle artylerii na raz dotychczas nie widzieli.

Wieczorem drążyliśmy okopy koło Łużnej, w bezpośrednim sąsiedztwie linii rosyjskich. Granaty i szrapnele zmuszały nas do pośpiechu, kulki z karabinów maszynowych gwizdały koło uszu, a z okopów rosyjskich słychać było wyraźne: „Rota pli!”. Rosjanie strzelali salwami.

Nad ranem przyszedł rozkaz, żebyśmy się wycofali do okopów rezerwowych. Czołgaliśmy się wzdłuż potoku porośniętego wierzbiną. Oba fronty drzemały, zmęczone. Tylko tu i tam padał strzał z karabinu albo rozlegał się jęk, który przypominał, że miniona noc nie była tak spokojna, jak poranek 1 maja 1915 roku.

Wkrótce zaczęła „pracować” artyleria. Walała przed Gorlicami, na przyległych górach karpackich i nad Dunajcem². Z rosyjskich okopów wydobywały się ogromne szarobrazowe słupy dymu, kurzu i zieleni. Działka polowe czekały, dalekosiężne pociski ostro przecinały powietrze, wszystko huczało, bębniło, jęczało i z ogromnym łomotem padało tam, gdzie

¹ Zapewne autor ma na myśli haubice Skody kalibru 305 mm (przyp. red.)

² Autor ma prawdopodobnie na myśli rzekę Białą – przyp. tłum.

niemieccy i austriaccy obserwatorzy lokalizowali rosyjskie tyły, baterie i punkty dowodzenia. Góra nad Łużną cała była w ogniu i trzęsła się pod uderzeniami ogromnych pocisków z trzydziestek piątek.

Szalona kanonada trwała cały dzień i całą noc. 2 maja strzelanie artyleryjskie zmieniło się w prawdziwy obłęd. To już nie były pojedyncze odgłosy, lecz jeden dziki, ogłuszający łomot. A to, co widzieliśmy przed sobą, nie było ziemią, ale morzem kraterów, z których wystrzelał ogień, fruwały kęsy wyrwanej ziemi i kawały śmiertelniegroźnego żelaza. A przez sam środek tego piekła gnały co chwila roje żołnierzy i okopywały się tuż pod rosyjskimi zasiekami z drutu kolczastego. Koło południa artyleria zamilkła. Huczące piekło znów nabrało wyglądu ziemi, na którą dobrotliwie świeciło majowe słońce. Ale gdy tylko przebrzmiał ostatni wystrzał z moździerza, rozwrzeszczała się trąbka, za nią druga, trzecia, dziesiąta. Przed rosyjskimi okopami wynurzyły się opętane, zdziczałe postacie piekielników i rzuciły się na Rosjan. Tylko słaby ogień stał im na zawadzie. Tylko z kilku stron rosyjskiego frontu zagrzeczoły karabiny maszynowe. Dzikie „Hura!” przeszło powietrze. Wojsko niemieckie i austriackie przerwało rosyjskie zasieki i niemal bez walki zajęło pierwsze okopy, a właściwie tylko ruiny, w których jęczeli i umierali ranni.

Szalony bój piechoty rozpętał się dopiero przy drugiej linii rosyjskiej. Tam Rosjanie bronili się szaleńczo. Ale nie obronili się! Ich karabiny milkły, strzelanina słabła, a niebawem pojawiły się długie szeregi wziętych do niewoli Rosjan, wlokących się na tyły niemieckie.

Znowu rozpoczęła się kanonada, lecz tym razem ogień skierowano jak najdalej, aby siał zamęt wśród pierzchających rosyjskich oddziałów zaopatrzenia, rozbijał uciekające baterie i piechotę. Za wycofującą się armią ruszyła galopem lekka artyleria, po drogach i bezdrożach cwałowały szwadrony huzarów i ułanów, tuż za nimi jechały oddziały rowerzystów, gnały naprzód wozy z amunicją i wozy Czerwonego Krzyża.

Front rosyjski został przełamany!

Nad Gorlicami biły w niebo ogromne słupy dymu. Płonęły resztki miasta i wszystkie szyby naftowe. Od Dunajca aż do źródeł Ropy, wysoko w Karpatach wszystko stało w płomieniach.

Pod wieczór artyleria znowu umilkła. Baterie ruszyły naprzód. Na drogach za frontem pojawiły się niezliczone sznury wozów i aut ciężarowych, do przodu przedzierały się auta osobowe i bryczki, cwałowali eleganccy kurierzy na pięknych jeździeckich koniach, migały szare czapki oficerów sztabowych, czerwone pasy generałów i połyskujące hełmy Niemców. Zwycięska generalicja austriacka i niemiecka spieszyła popatrzeć na swoje dzieło!

Po jednej stronie gościńca kuśtykali ranni, po drugiej wynędziali Rosjanie szli do niewoli. A węgierscy i austriaccy żołnierze z taborów szczekali na nich, jak uwiązane psy na byki. Ba, nawet niektórzy „bohaterowie” podbiegali do jeńców, kopali ich, bili po twarzy. Zapewniali sobie w ten sposób udział we wspaniałym zwycięstwie wojsk austriackich i niemieckich pod Gorlicami.

Trzeciego maja 1915 pod Gorlicami nastąpiła prawdziwa wędrówka ludów. Po drogach i ścieżkach waliło wojsko, na gościńcach hurkotały działa, wozy z amunicją, oddziały zaopatrzenia, miotacze min, wozy z pontonami, auta ciężarowe z zapasami, auta sztabowe i wyższych oficerów. Wzdłuż gościńców cwałowała kawaleria, gnano stada bydła. Pod prąd z trudnością torowały sobie drogę wozy Czerwonego Krzyża, transport lekko rannych i wielkie masy Rosjan wziętych do niewoli. W przyzwoitej odległości od dróg grupki ludności cywilnej ciężko szły do swoich zniszczonych wsi. W prawo, w lewo z przodu, z tyłu płonęły ogromne pożary, a w niebo bił szary dym. Płonęły miasta, wsie, stacje kolejowe, kościoły, mosty, fabryki i nędzne samotne zagrody wysoko w górach. Rosjanie wycofując się niszczyli wszystko, co mogłoby usprawnić pochód zwycięskich wojsk. Ale wytrwały hałas rosyjskich kulomiotów świadczył o tym, że wciąż jeszcze się bronią i ustępują krok za krokiem.

Przeszliśmy przez kilka wypalonych wsi, aż dotarliśmy do rozbitego Biecza. Z okien patrzyli na nas wystraszone okiem miejscowi. Próbowaliśmy kupić od nich coś do jedzenia.

Każdy wzruszał ramionami i odpowiadał ze źle tajoną goryczą: „Nima! Zabrali Rusy, Węgry, Germany i nasi!

Z Biecza posuwaliśmy się w kierunku Jasła. Stanęliśmy koło płonących drewnianych mostów na Wisłocze. Z osmalonych resztek i z szyn kolejowych, które znaleźliśmy w pobliskiej fabryce, zbudowaliśmy prowizoryczne przejście. Brodziliśmy po pas w lodowatej wodzie, która nam podcinała nogi, uginające się pod wielkim ciężarem. Gdy tylko położyliśmy ostatnią deskę na moście, już wchodziły na niego oddziały karabinów maszynowych, rezerwiści, telefoniści, ordynansi i kolejne setki najróżniejszych żołnierzy o najdziwniejszych funkcjach. Konnica przebrodziła i przebrnęła rzekę, zaś artyleria zatrzymała się na brzegu w wielkiej masie i czekała, aż pułk saperów postawi mocniejszy most z pontonów albo z belek.

W Jasle walczone zaciekłe. Zanim dostaliśmy się do miasta, przekroczyliśmy niejedną barykadę z poległych Rosjan, Austriaków i Niemców. Droga z Gorlic do Jasła była jednym wielkim pobojuwiskiem, setki byłych „trzeciaków” z pewnością zachowały ją w smutnej pamięci. Pułk morawski spłacił tu wielką daninę krwi.

Do połowy maja zwycięskie wojska przedarły się aż do Jarosławia. Rosjanie zażarcie bronili tego miasta. Wysoki nasyp kolejowy, otaczający Jarosław zamienili w silny szaniec i bronili się z za niego aż do ostatniej chwili. Dopiero, gdy ich front się cofnął z obu stron, wycofali się w największym pośpiechu. W południe 16 maja przechodziliśmy przez jarosławskie pobojuwiska. Za nasypem leżały trupy żołnierzy i koni, drogę tarasowały przewrócone, rozbite wozy, w rowach leżała porzucona broń i amunicja. Na ulicach i w domach widać było sterty szmat, papierów, szkła, szczątki mebli i sprzętów, przy drogach bezładnie leżały słupy telegraficzne, na skraju miasta panowała straszliwy smród psujących się skór i wnętrzności, wyrzuconych z powybijanego bydła. Na ulicach stały grupki cywilów, na ogół Żydów. Ci obserwowali sytuację, a skoro uznali, że najgorsze już minęło, zaczęli handlować. Na pospiesznie skleconych straganach sprzedawali chleb, tytoń, kołaczki, sery, cukier, słodycze, lemoniadę, herbatę, wino, mięso, widokówki itd. itd. Jak dzieci biegaliśmy do straganów, kupowaliśmy długo nie widziane smakołyki i błyskotki, płacąc każdą cenę. W ciągu niecałej półgodzinki napiliśmy się i najedli wszystkich „smakołyków”, które oko nasze ujrzęło. A jeszcze wypchaliśmy sobie chlebaki i tornistry.

Rosjanie wycofywali się za San, okopali się i bronili przejścia przez rzekę. Do wieczora niemieckie pułki zdobyły tylko niewielkie przyczółki. Nad San ściągnięto kilka kompanii technicznych i jeden pułk saperów, aby w ciągu nocy wybudować zastępczy most, bo wszystkie były spalone. My także dotarliśmy nad rzekę przez gęstą łożę. Gdy tylko zrobiło się ciemniej, nastąpiła praca. Kopano wysoki brzeg, karczowano łożę, noszono pontony, belki i deski. Do pracy przygrywały nam karabiny maszynowe, nad głowami rozrywały się szrapnele, a na brzeg i do Sanu wpadały posapujące granaty. Z rzeki co chwila wylatywał ogromny gejzer – biały słup wody – zatrzepotał w białych promieniach księżyca, zaszumił i z pluskiem zlewał się z huczącą rzeką.

Przed świtem most był gotowy. Kilku „chłopców” przy nim poległo, kilku było rannych. Całkiem „tani” most.

Wśród poległych byli dwaj rodzeni bracia. Starszy został ranny w pierś. Młodszy podbiegł do niego i opatrywał. Nadleciała kulka, a miłosierny samarytanin padł martwy na umierającego brata. Pochowano ich w jednym grobie na brzegu Sanu.

Oryginał: František Mikulašek, *Gorlice*, [w:] *Domov za války*, Praha 1928

Cyt. za Magury 92, Warszawa 1992 (ISBN 83-85141-09-X), przekład: Antoni Kroh